

Jak przywrócić prawdziwy obraz Rzeczypospolitej

Walka o polską duszę trwa

Prof. Andrzej Nowak

„(...) patrz! Twoje gniazdo:
Owdzie patrycjalne domy stare
Jak Pospolita-rzecz,
Bruki placów głuche i szare
I Zygmuntowy w chmurze miecz...”

C. K. Norwid, *Fortepian Chopina*

Nasza historia – miecz i piękno. To piękno, którego powinniśmy uczyć się w szkole. Wyrasta z wody naszego chrztu, ze źródeł tradycji ożywiającej naszą kulturą tożsamość. Towarzyszy dziejom Polski w każdej epoce. Tworzy swoiste imperium ducha. Ten miecz, który wspominał Norwid w swoim wielkim poemacie, miecz Zygmunta III z warszawskiej kolumny, miecz, który odsunął grozę tureckiego najazdu pod Chocimiem w roku 1621 i przywrócił Litwie zabrane przez Moskwę Smoleńsk – ten miecz służył i służyć powinien nam do obrony imperium polskiego i chrześcijańskiego ducha. Buduje się ono od przyjęcia chrztu w 966 roku, od włączenia się w starszą i w potężniejszą na pewno od naszej kulturę ogólnoludzką, wyrastającą jeszcze z tradycji grecko-rzymskiej. Do tej tradycji swoją oryginalną nutę wprowadza nasza, polska tożsamość, nasza polska kultura: to, co zagrać może najlepiej warszawski fortepian Chopina.

Tom V „Dziejów Polski” zamyka się zaledwie w 60 latach, ale w latach jakże ważnych, rozstrzygających dla przyszłości Rzeczypospolitej. Między 1572 a 1632 okrzepł ustrojowy kształt wspólnoty politycznej jej obywateli: na dobre i na złe. W pewnym sensie była to oczywiście kontynuacja tej epoki, którą nazywa się Złotym Wiekiem, a którą pozwoliłem sobie nazwać, w IV tomie „Dziejów”, wiekiem „trudnym” – choć na pewno „złotym”. Już wtedy bowiem, przed śmiercią ostatniego Jagiellona, pojawiła się trudność, z którą naprawdę

zmierzyć się będą musieli mieszkańcy Rzeczypospolitej przełomu wieków XVI i XVII. To wyzwanie rzuciła Reformacja i wynikające z niej nowe, coraz gwałtowniejsze podziały religijne i towarzyszące im burze polityczne. Zmagania w owych burzach w dużym stopniu kształtowały historię polskiej wolności.

Mimo wewnętrznych wstrząsów w opisywanych w tym tomie sześćdziesięciu latach imperium polskiego ducha będzie kontynuowało jednak, jeśli można tak powiedzieć, kolejne podboje. To jakby dwie strony jednej historii polskiej wolności, która współtworzy imperium Rzeczypospolitej i która jednocześnie kładzie jego nieprzekraczalne granice.

Dwa kluczowe pojęcia: wolność i władza – powinniśmy wciąż na nowo zastanawiać się nad nimi. Wolność: oby-

Prof. Andrzej Nowak wygłasza wykład podczas promocji V tomu „Dziejów Polski” w krakowskim Teatrze im. Juliusza Słowackiego. Fot. Michał Klag



watela i wolność narodu. Władza: nad sobą i władza nad innymi. Samo słowo „imperium”, trzeba to przypomnieć, wywodzące się z języka łacińskiego, odsyła do bardzo prostego znaczenia: w starożytnym Rzymie oznaczało władzę rozkazywania. Chodzi o typowo wojskowe zwierzchnictwo; to była władza, jaką ma oficer nad swoimi żołnierzami. To jest zupełnie inny rodzaj zwierzchności od tej, jaką może osiągnąć polityk w państwie wolnych ludzi. Polityk musi argumentować, przekonywać, może zostać odwołany, natomiast imperator wydaje rozkazy, których się słucha na baczność i które się wykonuje. Na tym polega imperium, na władzy rozkazywania innym. Pojęcie to przeniesione w przestrzeń geopolityczną oznacza możliwość rozkazywania i panowania nad innymi państwami, także jako zwierzchność cywilna. To jest zakres władania nad tymi, którzy są wokół nas, a którym możemy narzucić swoją wolę.

Cała historia ludzkości, polityczna historia ludzkości, może być odczytywana w taki właśnie sposób: jako nieustająca walka, w której jedni narzucają panowanie innym, stosując przeróżne metody, nie tylko wojskowe. Inni bronią się przed tym panowaniem, które chcą im narzucić potężniejsi od nich. Na tej wielkiej scenie dziejów rozgrywa się także historia mniejsza, ale jakże ważna dla nas: historia Rzeczypospolitej.

Rok 1572 to moment, kiedy wygasa swoista dynastia Jagiellonów. Swoista, ponieważ każdy z Jagiellonów, począwszy od króla Władysława Jagiełły, nie dziedziczył tronu z tytułu urodzenia, lecz zostawał królem w wyniku wyboru. Był wybierany przez wolnych obywateli. Wskutek znakomitej tradycji panowania przedstawicieli tej rodziny utarł się zwyczaj traktowania Jagiellonów jako „naturalnej puli”, z której wybierano kolejnych władców, nie szukano ich po innych dynastiach. W momencie,

kiedy owa „pula” się wyczerpała, wraz ze śmiercią ostatniego męskiego potomka rodu, Zygmunta Augusta, trzeba było wymyślić na nowo swoją wolność. Trzeba było w każdym razie na nowo sformułować jej zasady, by ustalić, kto będzie naszym panem, jak uczynić ten wybór dobrym, by ów pan nie został naszym – imperatorem.

I tutaj pierwsze stwierdzenie, które chciałbym, żeby zabrzmiało wyraźnie, a mianowicie w Rzeczypospolitej nie ma i nie może być imperatora. Rzeczpospolita najbliższej klasycznego imperium była wtedy, gdy władzę sprawował Stefan Batory i jego prawa ręka, kanclerz i hetman Jan Zamoyski. Ale wolni ludzie, a takimi przecież czuła się cała polska i litewska szlachta, nie chcą mieć nad sobą nikogo, kto będzie im dowolnie wydawał rozkazy. To bardzo piękna cecha wolności i jednocześnie bardzo trudna cecha w organizowaniu życia politycznego w taki sposób, by zapewnić bezpieczeństwo narodowemu domowi. Bo jeżeli nie chcemy służyć rozkazów, to możemy doprowadzić do bezbronności – i niestety przyjdzie się o tym obywatelom Rzeczypospolitej przekonać. W każdej chwili może pojawić się u naszych granic ktoś z zewnątrz, ktoś, kogo słuchają karnie tysiące żołnierzy, kto ma na skinienie ręki wszystkie zasoby innego państwa. Ten ktoś może, korzystając ze swojej mocy

imperialnej, narzucić nam, zakochanym w swojej wolności (zwłaszcza w wolności od własnego silnego rządu), obcą nam wolę, podporządkować nas zewnętrznym interesom, w końcu pozbawić naszego domu. To stanie się tragicznym udziałem Rzeczypospolitej w wieku XVIII.

W wieku XVI i na początku XVII oczywiście było do tego jeszcze daleko. Obserwuję w piątym tomie „Dziejów” dramatyczne zmagania wolności obywatelskiej, zakochanej w sobie, z tym, co jest nie mniej potrzebne, by dom ocalić, a mianowicie z siłą, którą okazujemy na zewnątrz, ażeby nasz kraj, nasze państwo obronić.

Pierwsza elekcja po śmierci Zygmunta Augusta, w 1573 r., wyznacza nowy rodzaj konstytucji, nazwanej artykułami henrykowskimi. Podstawą tej konstytucji jest potwierdzenie wszystkich wolności obywatelskich, jakie zostały do tej pory w Rzeczypospolitej wywalczone, ugruntowanych w konstytucji radomskiej z 1505 r. nazwanej „Nihil novi” – czyli: nic o nas bez nas. A więc sami będziemy decydować o tym, w jakim kierunku Rzeczpospolita pójdzie. Możemy decydować dobrze, ale możemy również decydować źle. Na tym polega wolność. I historii takich właśnie dramatycznych wyborów między dobrem Rzeczypospolitej a dobrem własnym, które nie zawsze jest zgodne z dobrem wspólnym, opisuję w owym tomie.

Był to czas uformowania się radykalnej opozycji – w nowym sensie, jaki wtedy zostaje nadany temu pojęciu i który przeczy zachowaniu wspólnoty Rzeczypospolitej. Pierwszym magnatem, który tak skutecznie wykorzysta wolność Rzeczypospolitej do własnej kariery, własnej, bezprecedensowej potęgi majątkowej i następnie manipulowania za jej pomocą życiem Rzeczypospolitej, był człowiek posiadający skądinąd ogromne wcześniejsze zasługi wojskowe i cywilne, także kulturalne: hetman wielki koronny i kanclerz wielki koronny Jan Zamoyski. Niestety był także twórcą pierwszej totalnej opozycji w dziejach Rzeczypospolitej, totalnej, a więc niekoniecznie ukierunkowanej na dobro kraju, ale na bezwzględne zwalczanie centrum jego legalnej władzy, dla zaspokojenia własnych ambicji lub partyjnych korzyści.

To było nieoczekiwane dla mnie odkrycie rzadko ujawnianej dotąd strony wielkiej postaci Jana Zamoyskiego. Podczas lektury olbrzymiej korespondencji wielkiego hetmana i kanclerza z jego klientami politycznymi, twórczymi jego partię, trudno było nie zadumać się nad logiką czy dynamiką procesu dążenia do zabezpieczenia własnego interesu, własnego wyniesienia. Nie da się tego połączyć z pokorą służby Rzeczypospolitej.

Mówimy teraz o Zamoyskim, ale to zjawisko już wcześniej miało swoje początki na Litwie. Np. w przypadku rodziny Radziwiłłów, której główni przedstawiciele za czasów Zygmunta Augusta wyniesieni zostali dzięki własnym talentom i intrydze miłośnej z udziałem ich siostry, Barbary, ponad poziom obywateli i już do owego poziomu nie chcieli wracać. Radziwiłłowie (niektórzy, zwłaszcza z linii na Birżach) oraz Zamoyski jako pierwsze wzory magnackiej postawy – niestety szybko znaleźli naśladowców. Założenia ich polityki były proste: jeśli Rzeczpospolita nie będzie podążać w kierunku, który oni chcą podyktować, to niech Rzeczpospolita nawet zginie, byle wykazać, że władza (król, senatorowie) realizująca swoją politykę, nawet z poparciem większości obywateli, ale wbrew magnackiej partii, nie ma racji. Jeżeli opozycja nie rządzi, to jest gotowa zniszczyć swój kraj, swoje państwo: to jest właśnie opozycja totalna. Ta postawa ujawnia się i umacnia po raz pierwszy z pełną siłą w owym trudnym sześćdziesięcioleciu 1572–1632. Mówię o tym bolesnym fakcie, bo nasza historia nie składa się z samych triumfów, z samych zwycięstw, choć ich naprawdę nie brak, ale także z bolesnych doświadczeń zafundowanych samemu sobie, nie tylko przez obcych.

Obywatele Rzeczypospolitej nie żyli sobie podbojów zewnętrznym. To

Pokonany przez Polaków arcyksiążę Maksymilian III Habsburg składa broń przed hetmanem wielkim koronnym Janem Zamoyskim. Fot. Wikimedia



jest podstawowe twierdzenie – obywatele Rzeczypospolitej nie chcieli klasycznego imperium. Dlaczego? Przecież to nie jest zła rzecz – mieć imperium. Obywatele, czyli ogół szlachecki, nie chcieli jednak imperium, bo zakładali, że jeżeli stworzy się silną armię (a bez niej nie da się realizować skutecznie polityki imperialnych podbojów i kontroli), jeżeli uchwali się stałe, wysokie podatki – to ta armia i nadzorująca je władza centralna, król, uniezależni się od ich nadzoru. Silna, stała armia, która będzie służyła naszemu bezpieczeństwu, ale mogłaby realizować program podbojów zewnętrznych, w trudnej do uniknięcia na dłuższą metę rywalizacji z Moskwą, ze Szwedami czy z Turcją, może stać się także narzędziem walki wewnętrznej i zniewolenia własnych obywateli. Tego się obawiano – a w tych obawach utwierdzali ich na sejmikach przedstawiciele magnaterii, czyli totalnej opozycji – że król wykorzysta silną armię do tego, by odebrać obywatelom ich wolność.

To spojrzenie szlachty było teoretycznie uzasadnione, ale tylko w pewnych granicach. Dojrzało przecież niebezpieczeństwo zewnętrzne, zagrożenie związane z narastającą potęgą i apetytami zaborczymi sąsiadów, a więc imperium osmańskiego, carstwa moskiewskiego oraz drapieżnego królestwa szwedzkiego, motywowanego dodatkowo luteraniskim fanatyzmem religijnym. Czy można było zatem tylko biernie czekać na to, aż sąsiedzi zbiorą swoje siły i zaatakują Rzeczypospolitą? Czy można wyłącznie bronić swoich granic, bez uprzedzania ataków przeciwnika, kiedy ten zbiera siły i łączy je z innymi sąsiadami Rzeczypospolitej – przeciwko niej? Z perspektywy wieków wiemy, że nie była to rozsądna postawa. Należało jednak przemóc niechęć do wzmocnienia władzy królewskiej, obawę przed silnym własnym państwem – by zapobiec nieszczęściom, które zbierały się na horyzoncie.

Te nieszczęścia nie były nieprzewidywalne. Mówili o nich, zapowiadali je natchnieni prorocy albo powiedzmy skromniej: ludzie rozumiejący rzeczywistość, jak ks. Piotr Skarga w „Kazaniach sejmowych” z 1597 roku. Widział, do czego może doprowadzić takie pacyfistyczne nastawienie, które ogranicza obowiązek obywateli Rzeczypospolitej tylko do obrony własnego domu, bez wychodzenia z niego na zewnątrz. Opierało się ono na następującym przekonaniu: tu jest nasz dom, czujemy się w nim bezpiecznie, żyjemy w przeciwieństwie wielkim kraju, a więc wystarczy bronić tylko jego granic. Króla natomiast, państwa, nie wzmocniamy, bo to własne państwo może być dla nas zagrożeniem – tak rozumowano. Z tego właśnie nastawienia wynikało to, że ciągle brakowało zgody na systemowe



Fragment obrazu Jana Matejki przedstawiający ks. Piotra Skargę wygłaszającego kazanie przed królem Zygmuntem III Wazą i jego dworem. Fot. Wikimedia

finansowanie wojska, skądinąd znakomicie wyszkolonego i na ogół radzącego sobie w polu nawet z wielokrotnie liczniejszym przeciwnikiem. Ale już do zdobywania twierdz, do systematycznej kampanii przeciwko zawodowym żołnierzom, konieczne było coś więcej: pieniądze, pieniądze i jeszcze raz – pieniądze. A tymczasem, kiedy np. trzeba było i można było w zarodku, to jest w roku 1600, rozwiązać problem szwedzkich apetytów na opanowanie Inflant, a w konsekwencji całego południowego wybrzeża Bałtyku, szlachta nie uchwaliła większego podatku. A biedna wówczas nie była. Zabrakło także finansowania w porę armii, gdy można było próbować rozstrzygnąć problem moskiewski.

I tak moglibyśmy wymieniać dłużej tego rodzaju stracone szanse, tak samo jak i dylematy, przed którymi stali obywatele 400 lat temu. W jakiś sposób przypominają nam one nasze dzisiejsze rozterki, wątpliwości. Czy powinniśmy umacniać nasze granice, nasze wojsko, a może machnąć na to ręką, przecieć jakoś się to obroni, a najważniejsze,

żebyśmy mogli naszą wolność zrealizować na ulicy, krzycząc przeciwko własnemu państwu. Albo w supermarkecie, realizując po prostu swoją wolność konsumencką: wolność od państwa, od polityki. To właśnie takie postawy, które nie narodziły się w XXI w., lecz mają długą historię, sprawiają, że pytanie o imperium Rzeczypospolitej jest pytaniem w jakis sposób aktualnym.

Moje słowa o tamtym okresie może do tej pory brzmią gorzko, w pewnym sensie samokrytycznie. Jednak gdybyśmy poprzestali tylko na tym, co prowadziło do rokoshu przeciwko władzy królewskiej, to nie opowiedzielibyśmy całej prawdy o tamtej epoce. Nie opowiemy jej również na pewno, jeżeli skupimy się na spojrzeniu całkowicie zafałszowującym dzieje Rzeczypospolitej, a dzisiaj tak często prezentowanym przez najsilniejsze media, wpływowe szczególnie w środowiskach akademickich i kulturalnych. Nadają ten ton gazety, portale, telewizje i ich „gwiazdy”, promując spojrzenie pełne resentymentu wobec dziejów Rzeczypospolitej, jako historii jednego wielkiego społeczeń-

nego ucisku, bezprawia, w którym lud, rozmaicie rozumiany, zawsze był prześladowany i żył tylko życiem uciśnionym. My wszyscy, jako potomkowie tegoż ludu, powinniśmy Polski ówczesnej (a więc i dzisiejszej, która z tej tradycji wynika) – nienawidzić.

Ta swoista agitacja na rzecz neomarksistowskiej historii ludowej Polski nawiązuje do dawnych stalinowskich czytanek, w których straszliwi „polscy panowie” uciskają niepolskie, niekatolickie Kresy, a więc polski szlachcic lub polski karbowy stoi z pejczem nad ukraińskim, litewskim czy białoruskim chłopem i siecze go niemilosiernie w imię tego polsko-pańskiego, pysznego, dumnego, a ciemnego w gruncie rzeczy systemu wartości „imperialno-kolonizatorskich”.

Francesca Caccini, córka florenckiego kompozytora Giulio Cacciniego, współzałożyciela „Cameraty Fiorentiny”, słynęła z urody i talentu muzycznego. Na cześć polskiego królewicza Władysława Wazy skomponowała jedną z pierwszych w historii *dramma per musica*. Portret pędzla Palmy Vecchio. Fot. Wikimedia



Tego rodzaju interpretacja dziś znów odżywa, podsuwana ponownie młodzieży nie tylko na wspomnianych portalach, w modnych „sztukach teatralnych”, ale co gorsza nawet w szkołach. Należy ją skonfrontować z rzeczywistością historyczną. A w niej widzimy, iż Rzeczpospolita nie była i w tym sensie imperium, że każde imperium musi również charakteryzować się panowaniem centrum nad peryferiami.

Na tym polega istota struktury imperium: centrum wyzyskuje peryferie. W takim sensie Rzeczpospolita, choć wielka, silna i zasobna, imperium na pewno nie była. Władza np. Radziwiłła, ewangelika reformowanego, w Nieświeżu czy w Birzach, władza prawosławnego Wiśniowieckiego

200 km na wschód od Kijowa czy Konstantego Ostrogskiego, właściciela Wołynia i połowy Ukrainy, prawosławnego księcia ruskiego, była nieporównanie większa od tej, jaką dysponował król w Warszawie czy w Krakowie. To trzeba sobie uświadomić: nie było żadnej możliwości, żeby centrum, czyli król, a nawet sejm, mogło zapanować nad owymi ruskimi, ukraińskimi czy litewskimi peryferiami. Geograficznie to były peryferie, ale w istocie polityczno-gospodarczej były to potężne centra władzy magnackiej. Bynajmniej niekoniecznie polskiej.

Znakomity historyk łódzki prof. Zbigniew Anusik obliczył, że największymi właścicielami ziemskimi na progu lat trzydziestych XVII wieku byli w Koronie książęta ruscy, prawosławni, i dopiero na siódmej pozycji pojawia się pierwszy przedstawiciel ziem etnicznej Polski, katolik. To oni dłużej i na większym obszarze niż kiedykolwiek „polscy panowie” mieli władzę nad ruskimi prawosławnymi chłopami: ruscy prawosławni książęta albo litewscy magnaci, którzy wybrali wyznanie ewangelicko-reformowane. W ramach tej swoistej reedukacji, której jesteśmy wciąż poddawani, uczy się nas skupienia całej nienawiści na polskiej, katolickiej tradycji: to Polska, to katolicyzm są winne całego zła, wyzysku, prześladowania w przeszłości.

Trzeba ten fałszywy obraz zmienić. Trzeba sięgnąć do historycznej rzeczywistości i to właśnie próbuję robić, korzystając z prac moich znakomych kolegów, którzy zajmują się szczegółowo badaniami nad historią chłopów tego czasu, historią religijności zwyczajnych ludzi tamtego okresu, historią obyczajową, społeczną, ekonomiczną – chcą przywrócić prawdziwy obraz Rzeczypospolitej. Bardziej zniuansowany niż w stalinowskiej czytance.

Wróćmy jednak do wyciągniętego wysoko w niebo miecza na pomniku Zygmunta III w Warszawie, o którym kiedyś napisze piękne wersy Cyprian Kamil Norwid. On przypomina o tym, że walka w obronie własnego domu bywa nieunikniona, że trzeba być do niej gotowym: duchowo i materialnie. Trzeba mieć własną husarię, na miarę danego nam czasu, która obroni dom, która wygra bitwę, kiedy nie da się jej uniknąć i kiedy trzeba ją stoczyć. Alternatywą jest kapitulacja, jest poddanie się obcemu imperium.

Chcę jednak zwrócić uwagę nie tylko na bitwy, na wspaniałe zwycięstwa opisywanego w V tomie czasu, na Kircholm, Kluszyn, Smoleńsk, Chocim, ale na to, co wypełnia dom, którego broniła ówczesna husaria, bronili ówcześni obywatele – ci sami, którzy niczego nie chcieli podbijać. Ale bronić swojego – byli gotowi z poświęceniem. Otóż to właśnie, co ów dom



Anna Popek, prof. Andrzej Nowak (przy mównicy), Halina Łabonarska oraz profesorowie Wojciech Polak i Krzysztof Ozóg na scenie Teatru im. Juliusza Słowackiego podczas premiery V tomu „Dziejów Polski”. Fot. Michał Kłag

wypełnia, jego duch, czyli jego kulturalne tworzywo, ma prawdziwą moc rozkazania kolejnym pokoleniom: macie tego domu bronić i macie go budować dalej, upiększać i wzbogacać.

Przełom wieku XVI i XVII dokłada do tego dziedzictwa, któremu na imię Polska, niezmiernie wiele; pisze o tym w artykule obok ciekawie, wymownie, przywołując i liczby, i wysiłek duchowy konkretnych ludzi, prof. Krzysztof Ozóg. Ja pozwolę sobie do tego aspektu dodać jeden: bez dwóch wieków teatru szkolnego jezuitów, powstałego w drugiej połowie XVI wieku, nie byłoby w ogóle kultury teatralnej w Polsce, kultury widzów ani aktorów, ani scenografów, ani reżyserów – nie byłoby rozumienia, czym jest teatr. To nie był zresztą tylko teatr religijny, w kilkudziesięciu teatrach jezuickich kolegiów wystawiano także dramaty świeckich autorów: greckich i rzymskich klasyków, ale również Racine’a, Bohomolca, Waława Rzewuskiego i wielu innych.

Przypomnieć trzeba także, iż na ul. Szpitalnej 18 w Krakowie powstała wówczas pierwsza w Europie, a więc chyba i na świecie, szkoła dla młodych kobiet. Pozwalała ona zdobyć edukację, na pewnym poziomie oczywiście, dziewczętom niezamożnym, bo, rzecz jasna, edukacja dla najbogatszych panien była dostępna w większym zakresie. Tu natomiast w 1621 roku, a więc 400 lat temu (jeszcze jedna ważna rocznica, całkowicie

przeoczona), Zofia Czeska, dziś błogosławiona, powołała z własnych, wdowich środków tę szkołę. W ślad za tym pójdzie fundacja zakonu prezydentek, który do dzisiaj prowadzi szkoły i przedszkola w kilku miejscach w Polsce. Nie wolno zapominać i o takim wysiłku, wiodącym w stronę dziś tak słusznie docenianą: równouprawnienia kobiet. Polska nie była pod tym względem krajem zacofanym, ale przeciwnie: przecierała i wtedy, i w XX wieku szlaki rzeczywistego równouprawnienia – i tylko ludzie, którzy nie znają historii Polski, albo jej nienawidzący, odwracają ten obraz.

Awięc w tamtym czasie wyrastały jak grzyby po deszczu szkoły – na przykład Kolegium ufundowane przez Bartłomieja Nowodworskiego, słynnego saperskiego, który walczył w całej Europie, podkładał miny pod mury Smoleńska, wysadził też bramę Arbacką w Moskwie w 1617 roku, by w końcu w Krakowie wyłożyć niemałe pieniądze na powstanie szkoły średniej. Czy mamy bardziej pamiętać kawalera Nowodworskiego jako dzielnego i zmyślnego минера, czy raczej jako twórcę tej szkoły, z której wyjdą przyszłości Jan III Sobieski i jego brat Marek, i Józef Korzeniowski, znany w świecie jako Joseph Conrad, i Stanisław Wyspiański? To drugie dziedzictwo okazuje się trwalsze. Może kładzenie fundamentów pod własne instytucje dobrej kultury czy edukacji ma większe znaczenie od wysa-

dzania fundamentów twierdz wroga? Na pewno nie mniejsze. W każdym razie to dzięki owym instytucjom, choćby dzięki utworzonemu przeciwieństwu w owym czasie, w 1579 roku, przez króla Stefana Batorego, przy pomocy księdza Piotra Skargi, Uniwersytetowi Wileńskiemu, możemy stać się obywatelami wielkiego polskiego ducha. To przecież z murów tej uczelni wyjdą m.in. Adam Mickiewicz, Juliusz Słowacki, Joachim Lelewel, Józef Ignacy Kraszewski, Józef Mackiewicz, Czesław Miłosz...

Warto przypomnieć sobie i to, że ów okres to był także czas tworzenia podstaw zawodowo uprawianej muzyki w naszej kulturze. Naturalnie, byli i wcześniej znakomici muzycy, o których pisałem w poprzednich tomach, ale przecież prawdziwy big bang muzycznej kultury Rzeczypospolitej nastąpił dopiero na dworze Zygmunta III i jego syna, królewicza Władysława, który sprowadza pierwsze spektakle operowe. Dwór królewski w Warszawie stanie się za Władysława IV jedną z pierwszych scen operowych w Europie. Notabene to właśnie dla królewicza Władysława wystawiono w Warszawie pierwszą operę na świecie napisaną przez kobietę – to też warto pamiętać, kiedy słyszymy wciąż o polskim ciemnogrodzie, w którym – w odróżnieniu od „światłej” Europy – kobiety zawsze były jakoby poniewierane...

Trzeba wiedzieć i pamiętać o jeszcze innej tradycji, bezcennej dla ducha

kultury muzyki popularnej, która docierała wtedy pod strzechy zarówno chat chłopskich, jak i dworów szlacheckich. Za chwilę Święta i będziemy śpiewać koledy – a większość z nich jest już zapisana w „Symfoniach anielskich” Zabczyca, wydanych 400 lat temu w Krakowie, a potem dopisywana w kolejnych dekadach XVII w. Oczywiście powstaną następne piękne pieśni w wieku XVIII i XIX, ale większość najpiękniejszych koled, które do dzisiaj stanowią o istocie polskiego ducha, chrześcijańskiego ducha i rodzinnego ducha, została zapisana już wtedy, przez ludzi wieku XVII. Czy mamy tego nie cenić, mamy o tym zapomnieć?

Jeżeli słuchamy Chopina, tak jak potrafił go usłyszeć i pokazać jego polskość Cyprian Kamil Norwid, to musimy uświadomić sobie, że nie byłoby jego muzyki, gdyby nie było wcześniej tych scen operowych w XVII-wiecznej Warszawie, tej kultury muzycznej, która dotrwa aż do początku wieku XIX, do tego konserwatorium, z którego zawodowe umiejętności wyniesie młody Frycek. I nie byłoby tej muzyki, gdyby nie nasze stare, przez pokolenia koledy, których nuty wplótł w swoje najśłynniejsze Scherzo Chopin, a po nim Penderecki (choćby w swej II symfonii „Wigilijnej”) czy Lutosławski, którzy wokół koled osnuje cały cykl swoich interpretacji. To jest właśnie imperium polskiego ducha, które budzi podziw ludzi kulturalnych na całym świecie. Podkreślmy: kulturalnych. I my powinniśmy słuchać jego rozkazów: budujmy tę kulturę dalej, nie niszczyjmy jej...

Możemy wspominać z zachwytem te czasy, kiedy oręż polski potrafił bronić polskiego domu, kiedy potrafił nawet w szczególnych momentach znajdować pole swojej chwały poza granicami Rzeczypospolitej: w Bukareszcie w 1600 roku, w Sztokholmie w 1598, w Moskwie w latach 1610–1612. Możemy przypomnieć, jak Kozacy, którzy przecież służyli Rzeczypospolitej, zajmowali Trapezunt i Synopę na południowym brzegu Morza Czarnego, lisowczycy docierali do Archangielska nad Morzem Białym. Lisowczynom przypomina nam dumny, nieposkromiony polski jeździec z obrazu Rembrandta, dziś niestety wiszącego w nowojorskiej galerii Fricka, chociaż była to przecież przez pokolenia własność rodziny Tarnowskich. Ten akurat obraz został sprzedany przez nich, więc w tym sensie legalnie znajduje się za oce-

anem. I leż jednak innych skarbów naszej kultury straciliśmy dlatego, że nie umieliśmy obronić naszego imperium w wieku XVII i później. Dzisiaj są w Moskwie, Uppsali, Sztokholmie, Berlinie, w innych miejscach. O tym też powinniśmy pamiętać: imperium polskiego ducha wymaga również siły w jego obronie, by nie padło łupem najeźdźców.

Trzeba więc skupić się na militarnym wymiarze imperium i zadumać nad jego losami w naszej historii. Ale nie możemy tracić z oczu fundamentalnego, pierwotnego znaczenia tego słowa – imperium. To jest rozkaz. Wydaje go nam duch przez pokolenia idący do naszych polskich domów, do naszych kościołów, do naszych muzeów. Toczy się właśnie walka, kolejna, o polską duszę. Słuchajmy rozkazu, który wydają nam ci, którzy założyli Uniwersy-



Najwybitniejszy poeta polskiego renesansu – Jan Kochanowski z Czarnolasu na XIX-wiecznej rycinie Jana Styflego według rysunku Juliusza Kossaka. Fot. Polona

tet Wileński, ci, którzy uformowali Adama Mickiewicza opisującego w „Dziadach” dramatyczne zmagania o polską duszę. Walkę nie o polskiego ducha, ale z nim prowadzą również ci, którzy to wielkie, największe dzieło polskiego dramatu usiłują znieprawić, sprowadzić do poziomu antyrządowej agitki... Jeśli my zrezygnujemy z rzetelnego, wiernego odczytowania naszego duchowego dziedzictwa, to padnie ono łupem: czasem niedouczonek, a czasem świadomych manipulatorów, którzy chcą właśnie tego ducha zgasić.

Historia opisywana w kolejnych tomach „Dziejów Polski”, a także ta, która toczyła się i toczy dalej, jawi mi się nieodmiennie jako powracające ciągle zmaganie o naszą duszę: jak w scenie „Dziadów”, gdzie o duszę Konrada prowadzą przecież zaciekły bój wysłannicy „Lukrecjusza, Lewiatana, Woltera, starego Fryca [Fryderyka II]”. „Imię ich legion”, stwierdzał wtedy Mickiewicz, w ślad za Pismem. Możemy im zostawić „Dziady”, Mickiewicza, Konrada, polską tradycję, ale wtedy już nas nie będzie. Będziemy ludźmi wydrążonymi z ducha.

By tak się nie stało, musimy pamiętać o tym, jak nasi przodkowie dzielnie poczynali sobie mieczem w obronie domu – i o tym, jak tworzyli imperium polskiej kultury, zapisywane na przykład zgłoskami najwspanialszych poematów. W omawianym w ostatnim tomie sześćdziesięcioleciu to był nie tylko Jan Kochanowski, ale także jego bratanek Piotr Kochanowski, także Sęp-Szarzyński, także, ukochany przez Sienkiewicza, Kasper Miaskowski. I tylu innych, może zapomnianych, ale krążących swoimi słowami, myślami w krwiobiegach tradycji Białego Orła.

Przewodnikiem w poszukiwaniu tego, co najcenniejsze w dorobku polskiego ducha, może być rozkaz wydawany słowami, jakie napisał Norwid: „Piękno kształtem jest miłości”. Dzisiejsza antykultura opiera się na wezwaniu do nienawiści. Walka o polską duszę trwa. Możemy wyjść z niej zwycięsko tylko wtedy, gdy przypomnimy sobie siłę rozkazu, jaki wydają nam najwspanialsze osiągnięcia polskiej kultury. Idąc za Kochanowskim, Mickiewiczem, Słowackim, Chopinem, Norwidem, Wyspiańskim, Janem Pawłem II.

Siłę tego rozkazu nie tak dawno przypominała posłuszna mu przez ponad sto lat swego długiego życia wielka patriotka, Karolina Lanckorońska. Zapytana na progu XXI wieku „czym jest patriotyzm?”, odpowiedziała bez wahania – „Poczuciem absolutnej przynależności i tym samym pierwszego obowiązku służenia wspólnocie narodu, do którego należę. Wspólnota wyraża się przez najwyższe wartości – w sztukach pięknych, sztuce pisaną, w innych przejawach kultury. To jest najszlachetniejszy wyraz narodowości”.

I tego się trzymajmy. Razem z naszymi Wielkimi Duchami.

Premiera!

Piąty tom „Dziejów Polski” prof. Andrzeja Nowaka już jest!

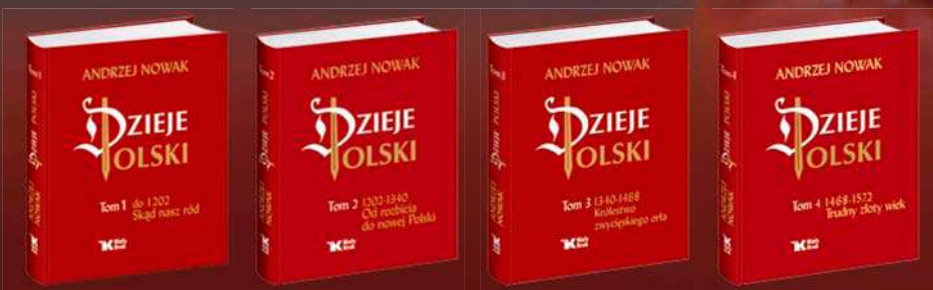
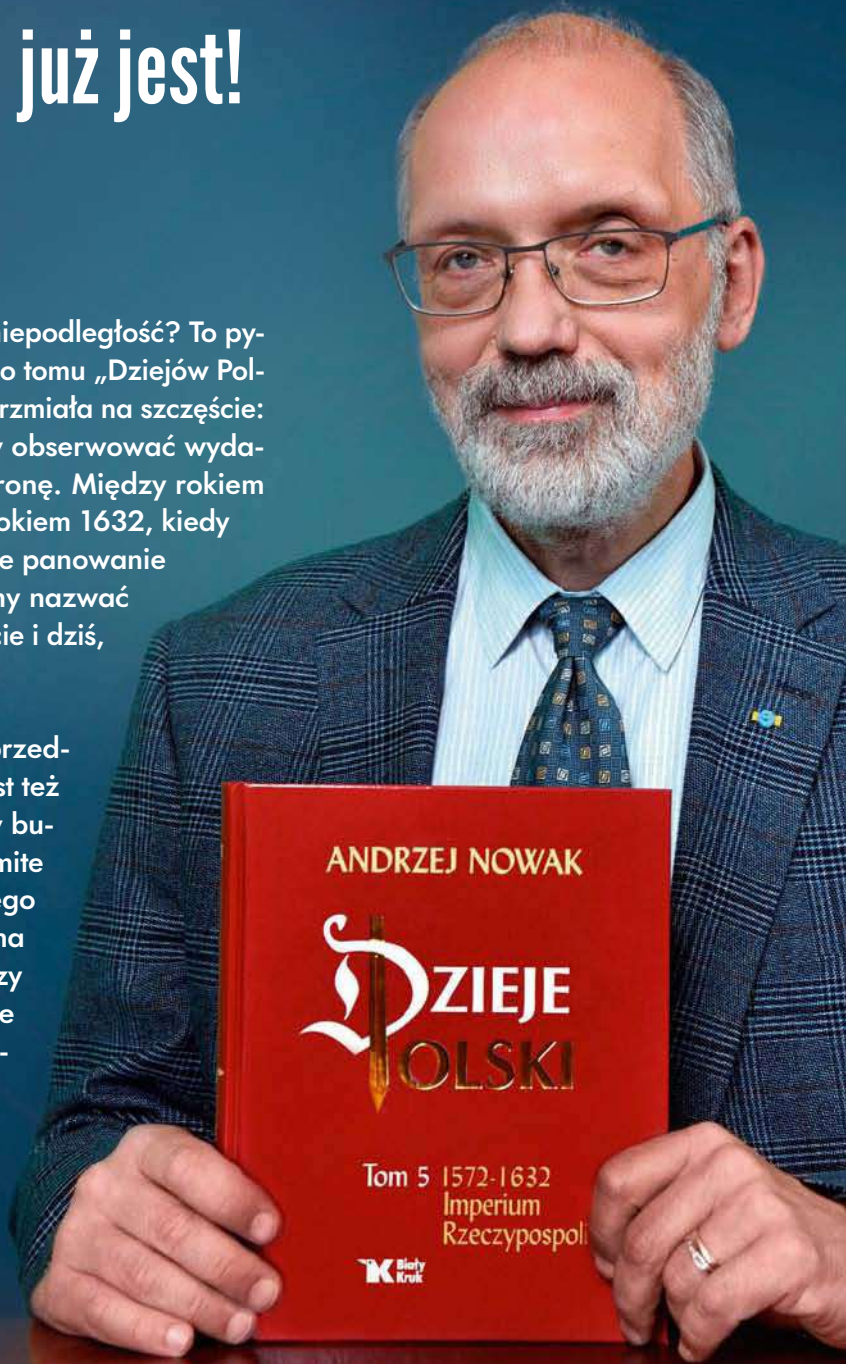
Imperium Rzeczypospolitej 1572-1632

Prof. Andrzej Nowak:

Czy wolność obywatelska sprostą walce o niepodległość? To pytanie często pojawia się na kartach piątego tomu „Dziejów Polski”. W tamtej epoce odpowiedź na ogół brzmiała na szczęście: tak. Jest to jednak także czas, w którym możemy obserwować wydarzenie prowadzące w znajomą i niepokojącą stronę. Między rokiem 1572, czyli śmiercią króla Zygmunta Augusta, a rokiem 1632, kiedy po trzech kolejnych elekcjach skończyło się długie panowanie Zygmunta III, pojawia się zjawisko, które możemy nazwać dwoma słowami: opozycja totalna. Znamy to pojęcie i dziś, i martwi nas ono.

Jest to najbardziej gorzki aspekt historii, którą przedstawiam w piątym tomie „Dziejów Polski”. Ale jest też druga strona medalu. Był to przecież czas próby budowy imperialnej Rzeczypospolitej. Nasze znakomite zwycięstwa wypełniają w dużej części treść piątego tomu. To okres trzech zwycięskich wypraw Stefana Batoiego na armię Iwana Groźnego, który kończy się wiktoria pod Pskowem. A potem błyskotliwe zwycięstwa wspianego wodza Jana Karola Chodkiewicza pod Kircholmem czy Stanisława Żółkiewskiego pod Kłuszynem, co otworzyło polskiej załodze drogę na Kreml.

Jest to wreszcie także piękny czas wielkich osiągnięć polskiej kultury. Odkrywam ten ślad w piątym tomie „Dziejów Polski” z przyjemnością.



488 str., 19,5 x 24 cm,
170 ilustracji, mapy,
twarda oprawa,
tłoczenia, złocenia

Cena 88,90 zł

Cena zestawów: 3 tomy – 185 zł; 4 tomy – 249 zł; 5 tomów 309 zł

www.bialykruk.pl

ZAMÓWIENIA: 12/260 32 90, 12/254 56 04, 12/254 56 02 lub e-mail: handlowy@bialykruk.pl

Przy zamówieniu powyżej 200 zł koszty przesyłki (16 zł) ponosi wydawnictwo.

